

Szczenięce lata, wojenne lata...



*W Bykowcach
Bracia Mirosław (siedzi) i Henryk
Rubasowie (zdjęcie z 1937 r)*

Miałem prawie sześć lat, gdy w wielkim pośpiechu, wystraszeni opuszczaliśmy Bykowce, wioząc tylko tyle dobytku, ile mogła pomieścić mała wołyńska furmanka. Połowę stanowiły książki - reszta to pościel, trochę żywności, parę garnków i jakieś ubrania. Mój starszy brat Heniek siedział na koźle obok woźnicy. Mama z półtoraroczną Marylą na ręku ulokowała się za furmanem, w zagłębieniu między tobołami, a ja wdrapałem się najwyżej, na wiklinowy kosz, przywiązany sznurami w tylnej części furmanki. Ucieka-

liśmy do Krzemieńca odległego od Bykowiec o blisko czterdzieści kilometrów.

Było już późno w nocy gdy dotarliśmy do miasta. Zmęczone konie ciężko dysząc stapały leniwie z nogi na nogę. Jechaliśmy ulicą Szeroką, ciągnącą się na dnie jaru, wzdłuż całego miasta. W pobliżu budynków Krzemienieckiego Liceum skręciliśmy w ulicę Pierackiego; unosi się ona ku górze, w dalszej części staje się coraz bardziej stroma, a w końcowej fazie jest już niebrukowana, wyżłobiona przez wodę spływającą z gór podczas wiosennych roztopów, przypominająca bardziej dno wyschłego strumyka niż ulicę. Tam na szczycie zaczyna się przedmiejska dzielnica Krzemieńca - Kalinówka. Na ulicy Pierackiego w pobliżu licealnych internatów mieszkała starsza siostra naszej mamy - ciocia Stasia, wdowa, z trójką nieco starszych od nas dzieci. Drzwi do mieszkania były zamknięte, a światła w oknach wygaszone. Mama delikatnie zastukała w szybę okienną.

- Stasia! Otwórz! To ja Janina z dziećmi...

Ciocia pojawiła się w drzwiach, jak duch w białej koszuli nocnej, ledwie oświetlona słabym, sączącym się z głębi korytarza światłem. Mama pośpiesznie wyjaśniła powód naszej niespodziewanej wizyty. Ciocia odebrała z rąk mamy małą Marylę i zniknęła bezszelestnie w korytarzu, a ja z bratem i mamą zaczęliśmy zdejmować z furmanki nasze toboły.

Za pozostawione w Bykowcach meble, sprzęt domowy i wyposażenie, ukraiński chłop zgodził się odwiedzić nas do Krzemieńca. Czas był szczególny, bowiem działo się to na Wołyniu, nad granicą, w pierwszych dniach października 1939 roku. Dzień przed naszą ucieczką NKWD aresztowało ojca, który jako zawodowy wojskowy w stopniu starszego sierżanta służył w Czwartym Batalionie Korpusu Ochrony Pogranicza w Dederkałach. Po krótkotrwałej obronie granicy, 19 września dostał się do niewoli sowieckiej. Został wraz z kolegami wywieziony do obozu jenieckiego aż do Juży w Iwanowskiej Oblaści. Tam, jako podoficera zwolniono go, ale zaraz po pojawieniu się w domu został ponownie aresztowany.

Starszy brat mojej mamy - wujek Zdzisław, również zawodowy żołnierz tego batalionu, jako jeden z nielicznych, najwłaściwiej ocenił sytuację jaka zaistniała po wkroczeniu Sowietów. Już w pierwszych godzinach po załamaniu się obrony granicy, uznał, że za wszelką cenę trzeba uniknąć aresztowania i niewoli sowieckiej. Wieloletnia służba na wschodniej granicy ukształtowała w nim przekonanie, że od Sowietów można spodziewać się tylko najgorszego. Nie czekał ani chwili. W cywilnym ubraniu uciekł do Krzemieńca i tam, jako osoba nikomu nie znana przeżył całą wojnę. Większość kadry zawodowej dederkalskiego baonu niestety oddała się do niewoli sowieckiej.

Dowiedziawszy się o ponownym aresztowaniu naszego ojca, następnego dnia ryzykując bardzo wiele, wujek przyjechał do Bykowiec, by w sposób

zdecydowany przekonać swoją młodszą siostrę a naszą mamę (używając do tego całego swego autorytetu najstarszej siostry) o konieczności natychmiastowej ucieczki. I tak też się stało. Dziś jeszcze zdumiewa mnie trzeźwość zachowania wujka Zdzisława. Tamte dni cechowała wręcz powszechna nieświadomość zagrożeń, totalna dezorientacja a nawet łatwowierność wobec kłamliwych haseł głoszonych przez „wyzwolicieli” Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Wujek Zdzisław doskonale wiedział jak w tej sytuacji należało postępować i to właśnie pozwoliło mu uniknąć losu jeńca wojennego a potem straszliwej śmierci w Katyniu, może w Kalininie (Twerze) lub Charkowie. Nie uniknął tego niestety mój ojciec i wielu Jego kolegów KOP-istów.

Również wujkowi Zdzisławowi zawdzięczamy nasze ocalenie przed wywózką na Sybir, a może tylko... do Kazachstanu.

W Krzemieńcu rozpoczął się nowy, bardzo trudny etap w życiu już niepełnej naszej rodziny. Zapas żywności przywieziony z Bykowiec wyczerpał się bardzo szybko. Sytuacja materialna cici Stasi była niewiele lepsza od naszej, więc na jej pomoc na dłuższą metę nie mogliśmy liczyć.

Nasza dzielna mama szybko otrząsnęła się z przygnębienia i apatii. Miała trójkę drobnych dzieci, którym trzeba było zapewnić byt. Los tak pokierował naszym życiem, że cały okres wojny byliśmy związani z Liceum Krzemienieckim. W nowych warunkach przestało ono pełnić funkcje, do których było powołane (z wyjątkiem kilku



Dederkały Wielkie. Od lewej: Stanisław Truchan z trójką dzieci, Danuta Trzaskalska, Janina i Jan Rubasowie i Zdzisław Trzaskalski (zdjęcie wykonane w 1932 r.)

miesiący po wkroczeniu Rosjan, w którym to okresie, utrzymano pozory ciągłości polskiej szkoły). Mama i ciocia podjęły pracę w przylicalnym gospodarstwie ogrodniczym. Trwało to krótko, gdyż ze zbliżającą się zimą zabrakło dla nich pracy. Musiały poszukać innego zajęcia. Sowieci część budynków licealnych przeznaczili na rosyjski instytut pedagogiczny, obie panie właśnie tam otrzymały pracę jako tzw. „uborszczyce” czyli sprzątaczk. Zawód ten, w nowych, socjalistycznych realiach ustawił je w uprzywilejowanej sytuacji. Nie budziło bowiem wątpliwości sowieckich władz, że ta grupa zawodowa, to klasa robotnicza najczystszej wody. W ten oto sposób znalazły się poza kręgiem zainteresowań NKWD. Zarabiała bardzo marnie, ale

wspomagając się wyprzedają własnej odzieży i drobiazgów domowych, mogły zapewnić dzieciom i sobie przeżycie w tym trudnym okresie.

W pozostałej części budynków licealnych rozlokowało się wojsko sowieckie. Krasnoarmiejcy nosili dziwaczne czubate czapki z czerwoną płócienną gwiazdą i długie postrzępione na dole płaszcze. Towarzyszył im zawsze zapach dziegciu (rodzaj smoły), którym smarowano brezentowe buty tzw. sapogi.

Wraz z gromadką rówieśników kręciłem się obok wojska, obserwując zachowanie żołnierzy, ich obyczaje i życie codzienne. W czasie ćwiczeń nosili długie karabiny zawieszane na sznurku. Czasami przyjeżdżał na koniu ich „komandir”. Jego koń, zamiast siodła

miał narzucony na grzbiet kawałek brudnego koca. Jakże inne to było wojsko niż nasi KOP-iści. Żołnierzy KOP-u obserwowałem od urodzenia, bowiem przyszedłem na świat w budynku sąsiadującym ze strażnicą KOP-u, której dowódcą był mój ojciec. Służba ta wymagała zamieszkania w pobliżu podległej mu placówki. W Dederkałach stacjonował Trzeci Szwadron KOP, miałem zatem często okazję obserwować ćwiczenia tej konnej, najpiękniejszej formacji wojskowej. Pod względem sprawności żołnierskiej, porządku i dyscypliny, nasze wojsko przewyższało wielokrotnie sowieckich żołdatów, którzy wyglądali niechlujnie i brudno, a organizacja życia żołnierskiego była byle jaka i robiła wrażenie wiecznego bałaganu. Nie słyszałem nigdy normalnej rozmowy dowódcy z żołnierzami; zawsze był to krzyk obficie ozdobiany niecenzuralnymi słowami.

Głód był najwierniejszym towarzyszem naszych dziecięcych zabaw i chyba dlatego utkwiły mi w pamięci posiłki sowieckich żołnierzy. Ich obiady były aż do znudzenia monotonne, składały się przeważnie z jakiejś zupy i żółtej kaszy jaglanej. Kuchnia polowa wydawała posiłki do tzw. kociołków, pełniących rolę menażki, której w rosyjskim wojsku nie znano. „Kotiołok” to była głęboka miseczka, wykonana z surowej blachy, wyposażona w druciany pałąk. Kasza jaglana, podawana niemal codziennie, szybko obrzydła żołnierzom. Zwykle po zjedzeniu paru łyżek resztek wyrzucali na ziemię, pod ścianę budynku. Do dziś tkwi w mojej pamięci obraz krasnoarmiejca opróżniającego kociołek – pukając nim o ścianę. Zie-

mia pod budynkiem była aż żółta od wyrzucanych tam resztek.

W życiu żołdatów zdarzały się sytuacje, które nam, dzieciom bardzo się podobały, a nawet zachwycały. Zwykle wieczorami żołnierze pięknie śpiewali, przeważnie na głosy, w języku rosyjskim lub ukraińskim. Zapamiętałem pierwszą zwrotkę ukraińskiej kołysanki:

„Czowen kitajetsia sered wody
Mrije dalekie seło
Luba detyno zasny, zasny
Zabud’ wsedennyje zło...”

Były wśród tych pieśni rzewne dumki ukraińskie, zawadiackie pieśni Kozaków, ballady ludowe o tragicznej miłości zakończonej samobójczą śmiercią obojga kochanków, śpiewano oczywiście „Katuszę”, czastuszki i wiele innych.

Sowieccy żołnierze imponowali nam swymi niezwykłymi umiejętnościami w ćwiczeniach na drążku. Niemal każdy popisował się sprawnością godną wyczynowego sportowca. Dyscyplina ta była ogromnie popularna wśród żołnierzy, a na terenie koszar, w wielu miejscach były zamontowane drążki, aby każdemu chętnemu umożliwić ćwiczenia. Widocznie tę jednostkę wojskową opanowała jakaś moda na ten rodzaj sportu. Często obserwowaliśmy rytuał czyszczenia broni: żołnierze żartowali sobie przy tych zajęciach, a gdy zjawiał się harmonista i wycinał kozaki i czastuszki, zrywali się niektórzy do tańca, parami lub solo wywijali hołubce i prysiudy.

Wieczorami przeciskaliśmy się ukradkiem między żołnierzami do sali kinowej w której wyświetlano filmy dla

wojska. Wtedy właśnie – po raz pierwszy w moim niezbyt długim życiu - zobaczyłem film. Była to komedia „Świat się śmieje”. Widziałem potem wiele innych filmów których tytułów dziś już nie pamiętam. Przypominam natomiast sobie, że prezentowano w nich najczęściej kołchoźników, młodych naukowców, traktorzystki, murarzy - wszystkich niezmiernie zadowolonych z życia, ludzi szczęśliwych, którzy śpiewając (dosłownie) przekraczali niełatwe zadania stawiane przez partię leninowską.

Oprócz zabaw, czas wypełniały nam również obowiązki. Jak wyżej wspomniałem, wyprzedawaliśmy nasz skromny dobytek aby zdobyć środki na żywność. W miastach w owym czasie zajmowało się tym wielu ludzi. Tego typu handel odbywał się na miejskim targowisku. Nasza mama pracowała do późnych godzin wieczornych, przeto sprzedając naszych rzeczy zajmowałem się ja razem z moim bratem. Sprzedawaliśmy różnego rodzaju fatalaszki i drobiazgi jak np. guziki pozyskane ze starej odzieży, jakieś wstążki, gumę pasmanteryjną, filiżanki ze zdekompletowanej zastawy stołowej, nici kolorowe do wyszywania itp. Nasz dzienny utarg był groszowy, a właściwiej kopejkowy. Kiedy udawało nam się więcej utargować, kupowaliśmy sobie w nagrodę jagodzianki. Pamiętam, że mieliśmy wtedy poczucie jakiejś winy. Przecież bezprawnie uszczuplaliśmy kwotę utargowanych pieniążków, które należały przecież do całej rodziny. Usprawiedliwialiśmy się przed sobą tym, że za szczególnie wysiłek i umiejętności handlowe (towar trzeba było

zachwalać) należy nam się nagroda. Dziś wiem, że głównym sprawcą naszego „występuku” był po prostu głód.

Zbliżała się zima. W naszym mieszkaniu zapanował chłód. Mamy nie było stać na kupno opału. Ale dzieciom nie brakowało pomysłów na zabawę, w ferworze których zimna nie odczuwaliśmy tak bardzo dotkliwie. Ciocia i mama coraz częściej martwiły się jak w tych warunkach przygotować święta, aby nam dzieciom zorganizować wieczerzę wigilijną, upiec jakieś ciasta, przyrządzić potrawy świąteczne, no i zdobyć choinkę. Odczuwaliśmy nieodpartą chęć, aby naszym mamom pomóc w tych przygotowaniach. Wyobrażaliśmy sobie, że niebawem nadejdą takie wspaniałe dni, podczas których będzie nas cieszyć widok choinki, będzie ciepło, smakowite jedzenie i będzie panowała atmosfera świątecznodomowa, kiedy również nasze mamy będą z nami w ciągu dnia, będziemy śpiewać kolędy i będzie miło jak w bajce.

W czym my mogliśmy pomóc? Było jasne, że zdobycie choinki to właśnie zadanie dla nas. W tamtym czasie nikt nie kupował choinek na rynku. Każdy pozyskiwał je w sposób nielegalny, kradnąc z lasu lub ze szkółki. Kiedy święta były już blisko, wybraliśmy się, my chłopcy, na Kalinówkę po drzewko. Była tam szkółka świerczków i wiedzieliśmy, że jej ktoś pilnuje. Wzięliśmy ze sobą sanki i tasak. Po dokładnym sprawdzeniu, że w pobliżu nikogo nie ma, zabraliśmy się do ścinania wybranego, najładniejszego, ale dość sporego drzewka. Nie łatwo było je ściąć. Czepialiśmy się gałęzi aby drzewko

nagiąć, a najstarszy z nas Jurek, rąbał pień zawzięcie. Ścięty świerk ułożyliśmy na sankach i przywiązali sznurkiem. Usłyszeliśmy nagle krzyk mężczyzny, który biegł w naszym kierunku wyrażając kijem trzymanym w ręku. Błyskawicznie rozproszyliśmy się we wszystkich kierunkach, a Jurek zdobył się w tej sytuacji na krok desperacki. Złapał sznurek od sanek i pobiegł w kierunku bardzo stromej zbocza góry Osowicy. Wskoczył na sanki; okraczając świerk dał szusa po prawie pionowym zboczu, pokrytym grubą warstwą śniegu. Sanki i świerk darły pierzynę śnieżną, ale na szczęście podróż skończyła się pomyślnie, u podnóża góry, gdzie i sanki i Jurek wykonały kilka efektownych koziołków. Gruba warstwa śniegu uratowała Jurka od tragedii.

W rogu pokoju stał nasz świerczek, pięknie i bogato ubrany ozdobami, unosił się zapach smażonego karpia i zupy grzybowej a my niecierpliwie czekaliśmy na rozpoczęcie wieczery. Białe obrusy, rozstawione talerze, dzban z kompotem z suszonych owoców, opłatek na talerzyku z siankiem i symfonia zapachów - czy to nie bajkowy obraz? Ciocia Stasia nareszcie wypowiedziała tak niecierpliwie oczekiwane słowo:

- Zaczynamy.

Potrawy powędrowały na stół. Potem mama wzięła opłatek do ręki i skierowała swe kroki na miejsce, gdzie stało nakrycie bez przydziału, dla nieprzewidzianego gościa, jak to bywa w polskim zwyczaju. Odłamała spory kawałek opłatka i położyła na pustym talerzu. Stała tam przez moment nieru-

chomo, aż dopiero ciocia wyrwała ją z zamyślenia:

- Jasia! Podzielmy się opłatkiem!

Teraz wszyscy kolejno całowali się i składali sobie życzenia - jak kto potrafił: my na miarę swoich dziecięcych wyobrażeń, zaś dorośli życzyli nam zdrowia, abyśmy byli grzeczni i doczekali wszyscy lepszych czasów. Nasza mama przytulała nas jakoś mocniej niż to zwykle bywało. Spoglądała na pusty talerz z kawałkiem opłatka i mówiła coś do nas długo, a w jej oczach pojawiły się łzy. Ona składała nam życzenia od siebie i od tego, kogo symbolizował ten pusty talerz.

- Tu, dzisiaj, przy tym stole powinien być z nami wasz ojciec - wyrzekła drżącym głosem.

Domyślaliśmy się dlaczego mama nas tak mocno przytulała: za siebie i za naszego tatę.

On, tam gdzieś w sowieckim obozie jenieckim, w tym dniu wigilijnym myślał zapewne o nas. I chociaż był twardego żołnierzem, zahartowanym w bojach od młodzieńczych lat, najpierw w Powstaniu Wielkopolskim, a potem już jako zawodowy żołnierz, to wiem to na pewno, że w tym dniu łzy pocięły mu same, gdy wyobrażał sobie wigilię wśród własnej rodziny: dzielenie się opłatkiem, najpierw z żoną, a potem po kolei z dziećmi, od najmłodszej córki do najstarszego syna.

Smutna to była wigilia - pierwsza w czasie wojny. Smutna dla nas, bo brakowało na niej naszego taty. A jaka była jego wigilia tam w niewoli? Nie wiedział jeszcze, że jest to jego ostatnia wigilia w życiu.